

Sztuka głupiej wojny

3 stycznia 2016

Popełnione 13 listopada br. w Paryżu mordy, do których przyznała się Organizacja Państwa Islamskiego, pociągnęły za sobą wzmożone zaangażowanie wojskowe Zachodu na Bliskim Wschodzie. Wydaje się zatem, że ten region świata jest skazany na interwencje zbrojne. Tymczasem, o ile zniszczenie wspomnianej organizacji w Syrii i Iraku to cel, który, jak się wydaje, podzielają dziesiątki państw, od Stanów Zjednoczonych po Rosję, od Iranu po Turcję, wszystko inne je dzieli.

„Nie jestem przeciwnikiem wszelkich wojen. Sprzeciwiam się wojnie głupiej, wojnie nieprzemyślanej, wojnie nie opartej na rozumie, lecz na gniewie.” Tak 2 października 2002 r. mówił mało znany kongresmen ze stanu Illinois, Barack Obama. Gniew spowodowany zamachami z 11 września 2001 r. nie opadł w Stanach Zjednoczonych, kiedy prezydent George W. Bush postanowił skierować go nie przeciwko Arabii Saudyjskiej, z której pochodziła większość zamachowców-samobójców, lecz przeciwko Irakowi, który zaatakował i najechał w pół roku później. Media chciały wojny; większość senatorów z Partii Demokratycznej, w tym Hillary Clinton, poprała taki obrót sprawy. Napaść na Irak stworzyła chaos, który stał się inkubatorem Organizacji Państwa Islamskiego (OPI).

Mordy, do których doszło 13 listopada br. w Paryżu, sprzyjają osiągnięciu przez tę organizację dwóch podstawowych celów. Po pierwsze chodzi jej bowiem o to, aby powstała koalicja „apostatów”, „niewiernych” i „renegatów szyickich”, która przystąpi do walki z nią, najpierw w Iraku i Syrii, a następnie w Libii. Po drugie o to, aby większość społeczeństw zachodnich uwierzyła, że ich muzułmańscy rodacy mogą utworzyć w cieniu „piątą kolumnę” – „wroga wewnętrznego” obsługującego morderców.

IM GORZEJ – TYM LEPIEJ

Wojna i strach: nawet apokaliptyczny cel ma w sobie coś racjonalnego. Dżihadyści wykalkulowali, że „krzyżowcy” i „bałwochwalcy” mogliby „uderzyć”, tzn. bombardować miasta syryjskie, patrolować prowincje irackie, ale nigdy nie byłiby w stanie okupować ziemi arabskiej. Organizacja Państwa Islamskiego liczy poza tym na to, że dokonywane przez nią w Europie zamachy pogłębią nieufność do muzułmanów mieszkających na Zachodzie i doprowadzą do poddania ich kontroli policyjnej. To zaś wywoła lub wzmoże wśród nich resentymenty do takiego stopnia, że niektórzy spośród nich dołączą do szeregów armii kalifatu. Wystarczy garstka, bo przecież janczarzy salafickiego dżihadyzmu nie mają zamiaru wygrywać wyborów. Prawdę mówiąc, najlepiej będzie, jeśli wybory wygra jakaś partia antymuzułmańska, gdyż wydatnie ułatwi to realizację ich projektu.

„Francja jest w stanie wojny”, oświadczył od razu prezydent François Hollande, występując 16 listopada na wspólnym posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego i Senatu Republiki Francuskiej. Pałac Elizejski od dawna szuka pretekstu, aby zaangażować się na froncie syryjskim i stara się nawet możliwie jak najbardziej wciągnąć Stany Zjednoczone. Jedno z dziwactw cechujących tę politykę polega jednak na tym, że Hollande chce dziś prowadzić w Syrii wojnę z Organizacją Państwa Islamskiego, a dwa lata temu z takim samym uporem wojennym usiłował przekonać władze w Waszyngtonie do „ukarania” reżimu Baszara al-Asada.

Czy Obama długo będzie sprzeciwiał się „głupiej wojnie”, do której prze Pałac Elizejski? Presja, której podlega, jest tym silniejsza, że Organizacji Państwa Islamskiego chodzi o to samo co władzom w Paryżu... Jak kilka miesięcy temu wyjaśnił badacz Pierre-Jean Luizard, w pierwszym etapie wszystko przebiega tak, „jakby Państwo Islamskie skrupulatnie sporządziło katalog tego wszystkiego, co może wzburzyć zachodnie opinie publiczne: zamachy na prawa mniejszości, na prawa kobiet, szczególnie śluby pod przymusem, egzekucje

homoseksualistów, przywrócenie niewolnictwa, nie mówiąc już o scenach ściąg i masowych egzekucji” [1]. Kiedy okazało się, że wystawienie tego makabrycznego katalogu na widok publiczny nie wystarczy, Organizacja Państwa Islamskiego postanowiła poderżnąć gardło amerykańskiemu zakładnikowi i czuwała na tym, aby scena ta uległa należytemu rozpowszechnieniu, a następnie urządziła mordercze strzelaniny w Paryżu. Na ripostę „krzyżowców” nie trzeba było czekać.

Faktycznie rzeczy tak się mają, że szef państwa musi zareagować na takie spektakularne akcje. Presja polityczna skłania go do szybkiego ogłoszenia czegoś – choćby byle czego. Do wydania rozkazu zniszczenia jakiegoś hangaru, składu amunicji, zbombardowania miasta. Popisania się determinacją. Zapowiedzenia nowych, jeszcze surowszych ustaw. Napiętnowania „monachijczyków”. Upstrzenia swoich słów wojenną retoryką, ubarwienia „przelaną krwią” oraz zapewnienia, że będziemy „bezlitośni”, wysłuchania standing ovation i podbicia popularności w sondażach o 10%. Na koniec to wszystko często okazuje się niemądre, a nawet bezdennie głupie – ale dopiero po kilku miesiącach. Pułapka licytacji nęci jednak coraz bardziej nieodparcie, zwłaszcza w reżimie nieustannego, frenetycznego bombardowania informacją aż do utraty tchu, kiedy to żaden czyn, żadna deklaracja nie mogą pozostać ani przez chwilę bez natychmiastowej repliki.

30 TYSIĘCY POTWORÓW

W 1991 r., podczas wojny w Zatoce, jastrzębie amerykańskie zarzucały prezydentowi George’owi H. Bushowi, że wojskom, które właśnie wyzwoliły Kuwejt, nie kazał pomaszerować na Bagdad. Cztery lata później gen. Colin Powell, który podczas tej wojny przewodniczył Kolegium Połączonych Szefów Sztabów Sił Zbrojnych USA, tak uzasadnił ówczesną bardzo zresztą względną wstrzeźliwość: „Na płaszczyźnie geopolitycznej koalicja, a zwłaszcza państwa arabskie, nie chciała, aby najechano Irak i dokonano rozbioru tego kraju. (...) Irak rozczłonkowany na entitety polityczne – sunnicki, szyicki i

kurdyjski – nie przyczyniłby się do stabilności, do której dążyliśmy na Bliskim Wschodzie. Jedynym sposobem na zapobieżenie takiemu obrotowi spraw byłyby podbój i okupacja przez Stany Zjednoczone kraju liczącego 20 mln mieszkańców. (...) Tymczasem naiwnością byłoby oczekiwać, że gdy upadnie Saddam, zastąpi go iracki Thomas Jefferson. Prawdopodobnie odziedziczylibyśmy Saddama pod innym nazwiskiem.” [2] W 2003 r. George W. Bush „doprowadził do końca” dzieło wojenne swojego ojca. Neokonserwatyści wiwatowali wówczas na cześć nowego Churchilla, demokracji, odwagi, zaś gen. Powell zapewne zapomniał swoich własnych słów, gdyż pomógł zrealizować to właśnie, przed czym wcześniej ostrzegał, prezydentowi, któremu tym razem służył za sekretarza stanu...

Często zarzucano George’owi W. Bushowi dziecinne i zbrodnicze prostactwo – jego „wojnę z terroryzmem”. Wygląda na to, że ma spadkobierców w Paryżu. „Powróćmy do rzeczy prostych”, apeluje Laurent Fabius, minister spraw zagranicznych Francji, wykorzystując w tym celu cały swój talent belfra wyspecjalizowanego w nauczaniu takich jak my dzieci z pierwszych klas szkoły podstawowej. „Daesz to potwory, ale jest ich 30 tys. Jeśli wszystkie kraje świata nie są w stanie wykorzenić 30 tys. osób, które są potworami, to znaczy, że wszystko stało się niezrozumiałe” [3]. Spróbujmy zatem mu to wyjaśnić.

Zacznijmy od metafory o rybie w wodzie: „30 tys. potworów” dysponuje licznymi wsparciami w strefach sunnickich Iraku i Syrii; wojska, którym stawiają oni czoło, często postrzega się w tych strefach jako narzędzia dyktatur szyickich, które również są winne licznych masakr. To dlatego Organizacja Państwa Islamskiego opanowała wiele miast, nieraz bez walki, gdyż stacjonujący w nich żołnierze zrzucali mundury, porzucali uzbrojenie i brali nogi za pas. Stany Zjednoczone starały się sfinansować szkolenie i wyposażenie ponad 4 tys. „umiarkowanych” bojowników syryjskich, z których, jak przyznają sami Amerykanie, tylko garstka wykazała się

zdolnością operacyjną. Koszt jednostkowy, tzn. wydatek na jednego członka tej garstki, wyniósł kilka milionów dolarów... W Mosulu 30 tys. żołnierzy irackich uległo tysiącowi bojowników Organizacji Państwa Islamskiego, którzy zdobyli w mieście 2 tys. samochodów pancernych oraz steki milionów dolarów, czekających na nich w kufrach banków. W Ramadi dżihadyści również pokonali 25-krotnie liczniejsze wojska irackie. Żołnierze syryjscy są wyczerpani czteroletnią wojną. Kurdowie zaś nie czują się powołani do tego, aby umierać w walce o terytoria, do których nie wysuwają roszczeń. „W rzeczywistości”, zauważa Luizard. „Państwo Islamskie jest silne jedynie słabością swoich nieprzyjaciół i prosperuje na ruinach instytucji, które się załamują” [4].

Podobnie wygląda to w Libii. Pod wpływem emocji oraz pod egidą szturmowego tandemu w składzie Nicolas Sarkozy i Bernard-Henri Lévy Francja potężnie przyczyniła się do obalenia Muammara Kaddafiego. Wyobrażała sobie, że tam również wystarczy pozwolić na zlinczowanie dyktatora, którego zgon spłodzi demokrację liberalną na zachodnią modłę. Rezultat: państwo rozpadło się na kawałki i Organizacja Państwa Islamskiego kontroluje kilka miast, z których organizuje zamachy w sąsiedniej Tunezji. Teraz francuski minister obrony przyznaje: „Libia bardzo mnie martwi. Daesz zainstalował się tam korzystając z wewnętrznych tarć między Libijczykami.” Tymczasem, kalkuluje minister, „jeśli połączy się siły Tobruku i Trypolisu, Daesz przestanie istnieć” [5]. A przecież problem rozwiązano trzy lata temu, kiedy to Bernard-Henri Lévy wyjaśniał: „Wbrew temu, co przepowiadały Kasandry, Libia nie rozpadła się na trzy skonfederowane entitety. (...) Prawo plemion nie wzięło góry nad poczuciem jedności narodowej. (...) W porównaniu z Tunezją i Egiptem w Libii mamy do czynienia z udaną wiosną – a ci, którzy jej w tym pomogli, mogą czuć się dumni z tego, co zrobili” [6]. Jest to faktycznie całkiem uprawnione poczucie, bo poza Bernardem Guettą, który codziennie rano transmituje na France Inter punkt widzenia Quai d’Orsay [7], nikt nie zmyśla z taką jak on łatwością.

Francuskiemu prezydentowi marzy się teraz „wielka i jedyna w swoim rodzaju koalicja” przeciwko Organizacji Państwa Islamskiego. Miałaby ona koniecznie obejmować prezydenta Syrii. Tymczasem ten odpowiada: „Nie uda wam się zwalczyć Daeszu pozostając w przymierzu z Katarą i Arabią Saudyjską – państwami, które zbroją terrorystów.” [8] Z kolei prezydent Rosji uważa, że Turcja, inny rzekomy członek koalicji antydżihadzkiej, „wbił nóż plecy” jego państwu zestrzeliwując 24 listopada jeden z rosyjskich samolotów wojskowych. W sumie, gdy tylko powstała koalicja, którą Hollande pragnie zmagostrować, odniosłaby zwycięstwo, „dzień później” okazałaby się w tych warunkach jeszcze niebezpieczniejszy niż okazał się w Afganistanie, Iraku i Libii. W Stanach Zjednoczonych (czyżby podobnie jak w Pałacu Elizejskim?) neokonserwatyści zapomnieli już o tych wszystkich porażkach – i to do tego stopnia, że żądają wysłania do stref okupowanych przez Organizację Państwa Islamskiego 50 tys. żołnierzy amerykańskich [9].

LISTA SPRAW NIE ZAŁATWIONYCH

W ostatnim numerze Foreign Affairs dwaj uniwersyteccy specjaliści w zakresie Bliskiego Wschodu, Steven Jones i Jonathan Stevenson, zaczynają inwentaryzować warunki, w których trwały okazałby się zachodni sukces wojskowy na terenach kontrolowanych obecnie przez Organizację Państwa Islamskiego: poparcie amerykańskiej opinii publicznej, wysyłka dużej liczby specjalistów od odbudowy, poznanie miejscowych społeczeństw, obecność klientów lub sojuszników w terenie irackim i syryjskim. Następnie konkludują: „Jeśli to wszystko brzmi znajomo, to dlatego, że mamy właśnie do czynienia z listą spraw, których Waszyngton nie potrafił załatwić podczas swoich dwóch interwencji na wielką skalę na Bliskim Wschodzie: podczas inwazji Iraku w 2003 r. i podczas kampanii lotniczej w Libii w 2011 r. Krótko mówiąc, Stany Zjednoczone prawdopodobnie przegrałyby kolejną wojnę na Bliskim Wschodzie z takich samych powodów, z jakich przegrały dwie poprzednie” [10].

Francja, mocno już zaangażowana w Afryce, nie ma szans wygrać „wojny” na Bliskim Wschodzie. To, że Organizacja Państwa Islamskiego pragnie wciągnąć ją w pułapkę, nie zobowiązuje Hollande’a do tego, aby czym prędzej w nią wskoczyć i pociągnąć za sobą koalicję państw często zachowujących większą ostrożność. Terroryzm zabija cywilów; wojna również. Wzmożenie zachodnich nalotów bombowych w Iraku i Syrii, które stworzy tyłu bojowników dżihadzkich, ilu zabije, nie przywróci ani integralności tych państw, ani wiarygodności ich rządów w oczach społeczeństw regionu. Trwałe rozwiązanie zależeć będzie od tych społeczeństw, a nie od dawnych mocarstw kolonialnych ani od Stanów Zjednoczonych, które dyskwalifikuje zarówno ich poparcie dla strasznej polityki izraelskiej, jak i katastrofalny bilans ich awanturnictwa wojskowego. Jest on katastrofalny również z ich własnego punktu widzenia: najeżdżając w 2003 r. Irak po tym, jak przez osiem lat wspierały Saddama Husajna w wojnie z Iranem (ponad milion zabitych), zamieniły one Irak w sojusznika Iranu... Wreszcie państwa, które sprzedają broń petrodyktaturom znad Zatoki, propagującym dżihadzki salafizm, nie są uprawnione do tego, aby mówić o pokoju ani uczyć Arabów zalet pluralistycznej demokracji.

„Kiedy grupki terrorystyczne operują w stabilnych państwach ze stabilnymi reżimami i nie posiadają materialnego poparcia części społeczeństwa”, zauważał historyk Eric Hobsbawm w 2007 r., „stanowią one problem dla policji, a nie problem wojskowy. (...) Jest rzeczą zrozumiałą to, że takie ruchy wywołują wielką nerwowość w społeczeństwie, szczególnie w wielkich miastach zachodnich, przede wszystkim wtedy, gdy rząd i media razem stwarzają atmosferę strachu” [11].

PARYŻ POD DYKTANDO FRONTU NARODOWEGO

Taka generująca strach atmosfera połączona z piętnowaniem „postaw monachijskich” pozwala zagłuszyć tych, którzy sprzeciwiają się piętrzeniu bez końca bezużytecznych i niebezpiecznych dla swobód publicznych środków represyjnych.

Zgodnie z żądaniami Frontu Narodowego, dochodzą do nich takie pachnące ksenofobią posunięcia, jak możliwość pozbawienia obywatelstwa pewnych osób posiadających podwójne obywatelstwo. Przestraszeni parlamentarzyści nie tylko przegłosowali niemal jednogłośnie stan wyjątkowy, ale premier zażądał od nich, aby nie przekazywali Radzie Konstytucyjnej koślawych pod względem prawnym posunięć, które przedłożono im pod głosowanie.

W 2002 r. Obama w takich słowach zwracał się do człowieka, którego miejsce miał zająć za kilka lat: „Chce pan walczyć, panie prezydencie Bush? Walczmy zatem o to, aby w naszym kraju handlarze bronią przestali dolewać oliwy do ognia niezliczonych wojen, które sieją na świecie pustoszenie. Walczmy o to, aby nasi rzekomi sojusznicy na Bliskim Wschodzie przestali uciskać swoje społeczeństwa, represjonować opozycję oraz tolerować korupcję i nierówność do tego stopnia, że młodzież w ich krajach wyrasta niewykształcona i pozbawiona perspektyw na przyszłość, żyje w beznadziei i z łatwością daje się werbować przez terrorystyczne komórki.” Obama nie usłuchał rad, których samu udzielał. Inni szefowie państw również tego nie uczynili. Szkoda. Zamachy dokonywane przez Organizację Państwa Islamskiego i katastrofalna polityka zagraniczna Francji znalazły ujście w nowej „wojnie”. Jedynie wojskowej, a zatem z góry przegranej.

Autorstwo: Serge Halimi

Tłumaczenie: Zbigniew M. Kowalewski

Źródło: Monde-Diplomatique.pl

PRZYPISY

[1] P.-J. Luizard, „Le piège Daech. L’Etat islamique ou le retour de l’histoire”, Paryż, La Découverte 2015.

[2] C. Powell, „A Soldier’s Way. An Autobiography”, Londyn, Hutchinson 1995.

[3] France Inter, 19 listopada 2015 r.

[4] P.-J. Luizard, op. cit.

[5] Europe 1, 22 listopada 2014 r.

[6] Le Point, 6 grudnia 2012 r. W „Le Point” z 16 listopada 2015 r. B.-H. Lévy oferuje swój elaborat pt. „Wojna – sposób użycia”, tym razem z myślą o Syrii.

[7] „Francuski prezydent zbliżył się do Rosji dopiero wtedy, gdy od początku do końca zrewidowała ona swoją politykę syryjską”, twierdził 19 listopada 2015 r. B. Guetta. Zob. również P. Rimbart, „Le théorème de Guetta”, „Le Monde diplomatique”, listopad 2008 r.

[8] Valeurs actuelles, 19 listopada 2015 r.

[9] Por. R. Kagan, „The Crisis of World Order”, „The Wall Street Journal”, 21 listopada 2015 r.

[10] S. Simon, J. Stevenson, „Why Washington’s Middle East Pullback Makes Sense”, „Foreign Affairs”, listopad-grudzień 2015 r.

[11] E. Hobsbawm, „L’empire, la démocratie, le terrorisme”, Bruksela – Paryż, André Versaille – „Le Monde diplomatique” 2009.